Rok III. Sierpień 1907. Nr. 3.

MIŁOSIERDZIE CHRZEŚCIJAŃSKIE

ORGAN

„KONFERENCYI ŚW. WINCENTEGO A PAULO"

i

STOWARZYSZEŃ IM POKREWNYCH.



Deus Caritas est.

Redakcya i Administracya: **Kraków, Kleparz, ul. św. Filipa 19.**

TREŚĆ ZESZYTU:

Zeszyty trzyarkuszowe wychodzą dwumiesięcznie.

Prenumerata wynosi:

w Austryi	rocznie	Kor. 2·–
w Niemczech	„	Mk. 2·–
w Warszawie	„	Rs. 1·–
na prowincyi w Królestwie i Cesarstwie .	„	„ 1·20

Skład główny na Królestwo i Cesarstwo:

Księgarnia „Kroniki Rodzinnej", Warszawa, Krakowskie Przedmieście 20.

Adres Redakcyi i Administracyi Dwumiesięcznika:

Kraków, Kleparz, ul. św. Filipa 19.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE

POD ZARZĄDEM A. SZYJEWSKIEGO.

Wywiezienie z Francyi trumny św. Wincentego a Paulo.

Nie obojętną zapewne dla wszystkich czcicieli św. Wincentego a Paulo będzie wiadomość, że trumna z Jego relikwiami została wywieziona z Jego ojczyzny do sąsiedniej Belgii. Stało się to dnia 3. stycznia b. r., a powodem tego było niebezpieczeństwo, by drogocenny ten skarb nie wpadł w ręce niepowołane obecnego rządu francuskiego. Po pewnym namyśle postanowili Ks. Ks. Misyonarze, w których głównym domu przy ulicy de Sèvres w Paryżu spoczywały dotychczas szczątki ich założyciela, przewieźć je w miejsce bezpieczne, a jest to cechą charakterystyczną, że można je było znaleźć dopiero za granicą, mianowicie w Belgii, gdzie umieszczono je w domu centralnym Sióstr Miłosierdzia prow. belgijskiej w Ans pod Liège (Lüttich). Uprzejmość władz belgijskich dozwoliła przewieźć skrzynię z cennym depozytem przez granicę bez żądania otwarcia, tak, iż pieczęcie położone przez arcybiskupa paryskiego przy zamknięciu skrzyni, doszły nienaruszone do Ans, gdzie władza dyecezyalna stwierdziła to w protokóle spisanym z powodu tego przeniesienia. Skrzynię z relikwiami wraz z dwiema innemi skrzyniami mieszczącemi święte zwłoki dwóch błogo-

sławionych męczenników chińskich Gabryela Perboyre i Franciszka Regis Cleta, obszyte w białą morę i ponownie opieczętowane przez arcybiskupa z Liège, umieszczono pod mensą wielkiego ołtarza. Niebawem rozeszła się wieść o przeniesieniu tych relikwii po całej Belgii. Na żądania wiernych wystawiono je ku czci publicznej, mimo tego, że z początku postanowiono trzymać wszystko w ścisłej tajemnicy. W dniu 18. lipca b. r., a więc w przededniu uroczystości św. Wincentego rozpoczęły się nieszporami uroczyste nabożeństwa, trwające bez przerwy do dnia dzisiejszego. Tłumy wiernych, liczne rzesze zakonów cisną się dokoła trumny Świętego. Najpoważniejsze jednak były pielgrzymki Panów z Konferencyi św. Wincentego; pierwsza dnia 28. lipca, w której brali udział członkowie Konferencyi belgijskich w liczbie z górą 1.600, pod przewodnictwem arcybiskupa z Liège. Na uroczystem nabożeństwie przystąpili wszyscy do Komunii św., a na zakończenie tej wspaniałej manifestacyi religijnej wygłosił pewien młody adwokat mowę do zebranych na placu kościelnym tłumów. Dnia 29. lipca przybyła również liczna pielgrzymka członków Konferencyi z Kolonii, z prowincyi nadreńskiej, pod przewodnictwem prezesa p. Rody. W dalszych dniach przybywały znowu pielgrzymki Pań Miłosierdzia z całego kraju. Tak więc Belgia, stosunkowo ze wszystkich krajów najbogatsza w Konferencye, stała się na razie strażniczką zwłok jednego z największych synów Francyi. — Wymowne to *signum temporis*.

I. Zjazd pisarzy i dziennikarzy polskich i katolickich w Warszawie.

Przeczytawszy powyższy tytuł niejeden z naszych Czytelników może się zapyta, czy ta sprawa wchodzi w zakres naszego pisma; może się nawet zdziwi, że się nią zajmujemy, ale zmieni zapewne swe zdanie, jeśli poznawszy uchwały tego zjazdu, dowie się, że i miłosierdzie chrześciańskie znalazło w nich dla siebie miejsce. I słuszna! Nie da się bowiem zaprzeczyć, że organizacya dzieł miłosierdzia i sposób jego pełnienia to jedna z kwestyj, które na poparcie prasy katolickiej mogą i mają prawo liczyć. Przedewszystkiem zaznaczmy, iż zjazd nasz był, jak to słusznie w telegramie do Ojca św. podniesiono wiecem *ex universa Polonia,* a że w znacznej jej części Towarzystwo św. Wincentego a Paulo było dotychczas zabronionem i prawie nieznanem, uznano za stosowne skorzystać z tak pomyślnej okoliczności, jaką zjazd nasuwał i wobec Duchowieństwa oraz działaczów społecznych licznie zebranych, opowiedzieć w osobnym referacie o powołaniu i działalności naszego Towarzystwa. Referat ten, jak sądzimy, nie był jakimś exkursem zbytecznym i z tego także

powodu, że przecież Towarzystwo św. Wincentego uważa szerzenie dobrej prasy zapomocą rozdawania jej ubogim czasu ich odwiedzin oraz zakładanie czytelni i biblioteczek a nawet wydawania stosownych publikacyj za jeden z objawów swej działalności, nawzajem więc ma prawo żądać od dobrej prasy, by ona jego prace popierała. W dyskusyi, jaka po odczytaniu referatu o Towarzystwie św. Wincentego się wywiązała, ks. Jan Siemieński zwrócił uwagę na jedno z najnowszych dzieł Towarzystwa, jakimi są ogrody robotnicze, polegające, jak wiadomo na tem, że Konferencya wydzierżawia grunt, który następnie powierza ubogim do uprawy na ich własny rachunek i zysk. Ks. Siemiński dodał miłą wiadomość, że dzieło to zaprowadziła u siebie Konferencya w Bochni, a więc początek u nas jest na tem polu dokonany. Rezultatem dyskusyi była następująca uchwała:

„Zważywszy, że Konferencye Towarzystwa św. Wincentego a Paulo uważają szerzenie dobrej prasy za jeden ze środków swego działania, pierwszy zjazd pisarzy i dziennikarzy polskich katolickich w Warszawie zachęca do zakładania tych Konferencyj i poleca prasie oraz Związkowi katolickiemu popieranie działalności Towarzystwa“. Opieką nad robotnikami chrześcijańskimi a więc dziełem tak bliskiem Towarzystwa św. Wincentego, zajmował się wykład ks. Marcelego Godlewskiego, rektora kościoła św. Marcina w Warszawie, wielce zasłużonego na polu organizacyi robotników chrześcijańskich. Obejmuje ona już 40 tysięcy robotników, z tego

7 tysięcy w samej Warszawie. Robotnicy ci, zrzeszeni na zasadach encyklik Leona XIII., mają swe kasy zapomogowe, pożyczkowe, pogrzebowe, urządzają odczyty pouczające, zakładają sklepy, których członkowie mogą taniej zakupy uskuteczniać, udzielają pomocy prawnej, wydają pismo pod tyt.: „Pracownik polski", wychodzące w Warszawie, którego redaktorem jest właśnie wspomniany ks. Godlewski. W stowarzyszeniach tych robotniczych są i sekcye zawodowe, tylko czego brak, to ludzi ze sfer bardziej wykształconych, coby swą pracę chcieli temu dziełu poświęcić. Do nielicznych w tej mierze wyjątków zaliczylibyśmy Częstochowę, w której praca ks. Włodzimierza Jakowskiego i kilku osób pełnych poświęcenia, już niejeden rezultat przyniosła. Ktokolwiek z czytelników naszych pojedzie na Jasną Górę, niechże nie zapomni przy tej sposobności przejść się do Starej Częstochowy, gdzie naprzeciw budującego się kościoła św. Rodziny, który będzie jedną z największych świątyń w Polsce, wystawiono niedawno olbrzymią halę na zebrania stowarzyszeń robotniczych, a nie pożałuje zapewne bliższego zapoznania się z ich działalnością. W dyskusyi nad referatem ks. Godlewskiego wezwano gorącym apelem wszystkich dobrej woli, by przyłożyli swą rękę do pługa i na tym zagonie pracy społecznej, którą z czasem trzeba będzie rozciągnąć i na najniższe warstwy społeczeństwa, jak to już zrobiono za granicą, n. p. w Monachium. Ex re wykładu ks. Godlewskiego rozdawano wśród uczestników zjazdu ulotne pisemko p. t.: „Co to są i co dają stowarzyszenia robotnicze

chrześcijańskie“, rzecz bardzo dobrze zredagowaną, którą można zażądać w Sekretaryacie robotniczym w Warszawie, Piwna 11.

Organizacya kształcenia młodzieży była przedmiotem sprawozdania hr. Cecylii Platerównej, której publikacye i praca na tem polu już dawno słusznie oceniono. Czcigodna prelegentka mówiła o opiece nad uczniami szkół średnich i wyższych, dziele zawiązującem się nie tylko w tym celu, żeby młodzieży pomódz się uczyć, ale, żeby ich wyprowadzić na ludzi pożytecznych Kościołowi i ojczyźnie. Zachęca się do sprawowania tej opieki również i samąż młodzież, ale o zasobniejszej kieszeni, a zwłaszcza i przedewszystkiem ugruntowaną moralnie. Są w tej instytucyi kółka samokształcenia, zwłaszcza w zakresie apologetycznym, ponosi się opłaty szkolne za uczniów i udziela się im stypendyów, stara się o wydawnictwa prac dla nich pożytecznych, urządza się dla nich wykłady i wyszukuje się lekcye. Wszystko to opiera się wyłącznie nie na zasadach filantropii zwykłej, ale dla widoku dobra społecznego.

W związku z referatem poprzednim, były trafne i praktyczne uwagi p. Adama Ronikiera w sprawie uświadamiania w duchu katolickim tych sfer naszego społeczeństwa, które się mają za bardziej wykształcone.

Jak trafnym i skutecznym środkiem apologetycznym może być powieść dobra, odpowiednio ułożona, wykazał wymownie i przekonywująco ks. Cezary Pęcherski, prefekt szkół w Piotrkowie. Wypowiedział on to, co

już nieraz zauważono w Towarzystwie św. Wincentego a Paulo i podano za regułę przy zakładaniu się biblioteczek, iżby w nich belletrystyka katolicka torowała drogę dziełom poważniejszym, doskonalszym. Ma bowiem ona szerokie zastosowanie, wywiera potężne wrażenie, apostołuje idee dobra, piękna i prawdy. Byłoby do życzenia, iżby fabułę swą czerpała z dziejów Kościoła lub życia Świętych Wzorem takich powieści są n. p. „Fabiola“ kardynała Wisemana lub takie powieści, jak n. p. „Irena“, „Savonarola“, „Bogiem a prawdą“, albo przepiękne, doskonale na polskie przetłómaczone: „Les scènes de la vie cléricale“, przez Karola Buet'a.

Dr. Tchórznicki w referacie nadprogramowym, p. t.: „Dobroczynność a praca chrześcijańska“, wniósł między innemi, ażeby „Pomoc biednym i nieszczęśliwym była oddaną nie komitetom doraźnym, lecz stałym instytucyom dobroczynnym, otwieranym z inicyatywy duchowieństwa i przygotowanym zawsze do niesienia pomocy doraźnej“. Wniosek ten życzliwie przyjęty, jest jednym argumentem więcej na poparcie potrzeby zakładania Konferencyj św. Wincentego. Skorzystał też zjazd i z usług, jakie statystyka przynosi, gdyż Dr. medycyny Stanisław Łagowski zdał sprawę z dzieła profesora Jessipowa, o statystyce moralnej Królestwa Polskiego, gdzie wykazano jak na dłoni rzecz godną zapamiętania, że często powodem zbrodni było próżniactwo, brak zasad etycznych oraz czytanie opisów zbrodni, pomieszczanych przez gazety, zbytecznie albo nawet lekkomyślnie. Do-

prawdy pojęć trudno, jak nieraz jakiś dziennik skądinąd poważny, sam się mający za katolicki, może codziennie karmić swoich czytelników lichą strawą nowinek policyjnych lub kryminalnych. Zjazd warszawski nie pominął też sprawy, która sercom katolickim i polskim powinna być nader drogą — podniesienia czci Patronów Korony i Litwy.

Dwa referaty w tej sprawie, z których jeden miał ks. Zenon Cwilong, prefekt szkół z Piotrkowa, a drugi p. Maryan Bartynowski, zgodziły się między innymi i na to, że jednym ze środków pomnożenia tej czci jest szerzenie żywotów Świętych naszych Patronów, napisanych krytycznie ale w sposób popularny i że te dziełka winny się znajdować po bibliotekach parafialnych i czytelniach ludowych, a więc i w biblioteczkach Towarzystwa św. Wincentego a Paulo. Oto są wiadomości i szczegóły ze Zjazdu warszawskiego, obchodzące bezpośrednio nasze Towarzystwo, a jak ów Wiec poświęcił cząstkę swych obrad naszym sprawom, tak zarówno i Towarzystwo św. Wincentego powinno zdaniem naszem w miarę sił swoich do wykonania jego uchwał się przyczynić.

U w a g a. Referat o Towarzystwie św. Wincentego a Paulo, czytany na zjeździe, ukaże się w zeszycie sierpniowym „Miesięcznika dla Dyecezyi Płockiej", inne referaty ogłasza już to tygodnik „Wiara", już to „Przegląd Katolicki".

Ks. Maryan Apolinary Kamocki

(1804 – 1884).

Jeżeli już 23 lata przepłynęły nad grobem kapłana, a jednak pamięć jego żyje wśród społeczeństwa całej Wielkopolski, prowincya zaś chełmińska Sióstr Miłosierdzia wspomina o nim, jako o swoim fundatorze, to należy wskrzesić jego postać w organie, który ma nas łączyć z dawnemi laty, należy tem bardziej, że coraz mniej tych, co nas wiążą z dalszą przeszłością. Jak portrety antenatów, rozwieszone po ścianach dworów polskich, były dla potomków bodźcem do pracy, tak żywoty sławnych mężów miłosierdzia, przedstawione w monografiach, mogą nie tylko poruszyć, ale i podnieść, uszlachetnić, jeszcze z poza grobu świecić przykładem. W czasach poważnych i chwilach przełomowych działa przeszłość jako *magistra vitae,* a taką chwilą przełomową są czasy obecne. Obieramy postać misyonarza ks. Kamockiego, który głęboko zapisał się w pamięci a jeszcze głębiej w sercach wszystkich, którzy się z nim spotkali.

Ks. Maryan Apolinary Kamocki był synem Piotra i Maryi ze Skórkowskich. Urodził się w Raciborowcu, majątku położonym pod Piotrkowem w gubernii ka-

liskiej. Matka była siostrą biskupa krakowskiego Karola Skórkowskiego, który musiał ustąpić ze swej stolicy pod naciskiem rządu rosyjskiego i poszedł na wygnanie do Opawy.

Bogato uposażona dusza małego Maryana rozwijała się bardzo pięknie i harmonijnie pod ręką kochającej matki, która po stracie córki starała się całe ciepło swego religijnego i patryotycznego serca przelać w jedynaka. Głęboka religijność i miłość ojczystego kraju składały zdrową atmosferę domu, w którym wzrastała młoda, wątła z natury latorośl. Nagle zapadł 4-letni Maryan na tak gwałtowną szkarlatynę, że lekarze rokowali zaledwie kilka godzin życia; wtedy pobożna matka, zabrawszy go na wóz, pojechała do sąsiedniego Będkowa, gdzie już od wieków słynął cudowny obraz Matki Boskiej. Tam złożyła na stopniach ołtarza chorego syna, sama zaś wyciągnęła błagalne dłonie do cudownej Pocieszycielki strapionych, gdy od stopni usłyszała głos: „Jestem uzdrowiony". Wrażenie uroczyste w tej chwili ocalenia zapadło głęboko w duszę Maryana i rozrosło się tam w kult Królowej Niebios, który się będzie wzmagał z latami, symbolicznym zaś niejako jego wyrazem będzie obraz olejny Matki Boskiej, zabrany z domu ojczystego jako jedyna pamiątka na życie tułacze, obraz ten zdobić jeszcze będzie pokoik Misyonarza. Za przykładem wieszcza narodowego mógł się Kamocki odzywać do swej niebieskiej Opiekunki:

„Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę

Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę,
I zaraz mogłem pieszo do twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu.

Kamocki jednak nie tylko sam pospieszył do progu tych świątyń, lecz zwoła, tam tłumy jako pierwszy apostoł nabożeństwa majowego na ziemi poznańskiej.

Ocalony cudownie Maryan skończył początkowe szkoły w Piotrkowie, poczem przeniósł się na dalsze studya do Warszawy, wreszcie wstąpił do tamtejszego uniwersytetu. Zapisany na wydziale prawa i administracyi słuchał pilnie przepisanych wykładów, tylko od czasu do czasu przyjaciel, Aleksander Jełowicki, namawiał na wykład z literatury szumnego Osińskiego lub serdecznego Brodzińskiego. Dyplom z prawa, znaleziony po śmierci ks. Kamockiego, świadczy o znakomitych rezultatach uniwersyteckich studyów. Potem nastąpił czasowy pobyt w ojczystym Raciborowcu i ślub z Emilią z Tomkowiczów, córką Ksawerego, szambelana Stanisława Augusta. Ale Kamocki „szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie“.

W r. 1830. na hasło, dane z Warszawy, cały kraj zerwał się do powstania; wtedy Kamocki rzuca żonę i 3-miesięczną córeczkę, przyszłą Siostrę Miłosierdzia, i wstępuje do 14. pułku piechoty, wziąwszy na drogę błogosławieństwo wuja, biskupa Skórkowskiego. Pułk ten należał do II. korpusu Ramoriny, Włocha, nieobeznanego z krajem, a choć na prośby ks. Adama Czartoryskiego wysłał Krukowiecki Prądzyńskiego do jego boku, Ramorino dumą swoją zraził zdolnego generała

tak, iż ten wrócił do Warszawy. To też w pamiętniku, który Kamocki spisał podczas tej kampanii, dźwięczy ustawicznie struna bólu, że najdzielniejszy w świecie żołnierz walczyć musiał pod rozkazami najniedołężniejszego w świecie wodza-cudzoziemca. Nie rozbił Ramorino korpusu Rosena pod Międzyrzeczem, oddaliwszy się zaś zanadto od Warszawy, nie zdołał jej przybyć z pomocą i stolica musiała kapitulować, potem błąkał się bez celu i planu, unikając nawet słabszego nieprzyjaciela; gdy mu się wreszcie nie powiódł zamiar połączenia z Różyckim, po ostatniej utarczce z Moskalami pod Borowem wydał 15.000-czny korpus w ręce Austryaków. Rozrzewniająca jest scena ostatniej rady wojennej, skreślonej w pamiętniku przez Kamockiego, w której on, najmłodszy z oficerów, ze łzami w oczach zaklinał wszystkich, by na nowo podjąć bitwę i raczej zginąć, aniżeli z bronią w ręku ustąpić z granic rodzinnego kraju. Za głosem Kamockiego poszli oficerowie ułanów i artyleryi, przychylił się do jego zdania szef sztabu, hr. Władysław Zamojski, i dzielny Sierakowski, ale większość, zarażona niedołęstwem Ramoriny, postanowiła złożyć broń. Dnia 17-go sierpnia przekroczył II. korpus granicę Galicyi, gdzie go zaraz otoczył marszałek Bertoletti. Wojsko polskie nie chciało zrazu złożyć broni, ale głodzone przez 3 dni i trzymane podczas słoty pod gołem niebem, poddało się konieczności. Żołnierze, jak opowiada Kamocki, całowali wtedy swoją broń, łamali ją potem i zakopywali w ziemię, żeby jej nie wydano Moskalom. „Ośm miesięcy służby dla kraju, ośm

miesięcy najmilszych dla serca trudów, minęło jak słodki sen. Boże, daj mi jeszcze przed śmiercią doczekać dni podobnych, pozwól mi jeszcze raz usłużyć kochanej ojczyźnie. Niechaj skończę życie ofiarą dla sprawy tak świętej". Na tych słowach kończy się pamiętnik.

Dłuższy czas przebywał Kamocki w Galicyi, korzystając z gościnności rodzin szlacheckich, poczem osiadł stale w Krakowie, gdzie go doszła wieść o konfiskacie majątku i śmierci żony, wreszcie w sierpniu 1836. r. otrzymał rozkaz opuszczenia miasta. Pod eskortą wojskową odwieziono go do Tryestu, skąd udał się do Francyi i zatrzymał się tymczasem w Bordeaux. Z tego czasu lubił w podeszłym wieku ks. Kamocki opowiadać o sobie anegdotę, rzucającą charakterystyczne światło na jego duszę. Możny niegdyś obywatel wszedł teraz jako zwyczajny robotnik do fabryki cukru i zamieszkał na wsi u włościańskiej rodziny. Nie chcąc tracić czasu, kazał sobie donosić posiłek do fabryki. Przynoszą po raz pierwszy śniadanie: ujrzał Kamocki jakąś zupę, panadę, tak wstrętną dla polskiego nawet oka, iż czemprędzej ją odstawił, pocieszając się myślą, że smaczniejszy będzie obiad, ale i na obiad była panada, trzeba było czekać aż do kolacyi. Widocznie rodzina, u której Kamocki zamieszkał, była bardzo biedną, bo wracając wieczorem do domu, zastał znowu panadę na stole. Wyczerpany zupełnie, zdobył się na odwagę i począł jeść, choć pot występował na czoło a łzy cisnęły się do oczu. Żeby zaś zwycięstwo było zupełne, wytarł resztki kawałkiem chleba. „Odtąd, mawiał ks. Kamocki, jadam panadę i nawet ją lubię".

Nadszedł wreszcie oczekiwany z domu zasiłek pieniężny i Kamocki przenosi się do centrum życia polskiej emigracyi — do Paryża.

Szeroko po całej Francyi rozlała się fala emigrantów polskich, co szli na zachód, na wygnanie, jak wcielona skarga za doznane krzywdy, spodziewali się wszyscy, że wrócą niebawem do ojczystej ziemi zorganizowani, silniejsi niż kiedykolwiek. Smutny przedstawiała obraz Francya pod względem religijnym po rewolucyi lipcowej, gdy księża nie mogli się pokazać w sutannie na ulicy, a kościoły świeciły pustkami. W duszach emigrantów mimo klęsk narodowych nie wygasło wprawdzie przywiązanie do wiary przodków, nie wygasła nadzieja w pomoc z góry, ale nadeszła dla nich chwila próby, gdy nad Sekwaną spotkali sympatye najżywsze u zwycięskiej partyi liberalnej. Ciągłe stosunki z tem stronnictwem musiały wpływać niszcząco na uczucia religijne emigrantów, a choć w rocznicę listopadową odprawiano pamiątkowe nabożeństwa, niewielu wtedy przynosiło do kościołów żywą wiarę w sercu; nic dziwnego, że ustawały z biegiem czasu i te tradycyjne, wojskowe Msze św., wreszcie pewna część emigracyi otwarcie wyznawała swoje niedowiarstwo.

Tymczasem powstał we Francyi nowy ruch religijny, pełen siły i nadziei na przyszłość; katolicyzm nie tylko budził się z letargu, nie tylko leczył się z ran, odebranych w przeszłości, ale występował do walki z wrogami, budził z drzemki ospałych i obojętnych. Po nieudanej próbie pogodzenia Kościoła z partyą

liberalną przez ks. Lammenais zorganizował się silny obóz katolicki, na którego czele stanął świetny publicysta Ludwik Veuillot i głośny trybun parlamentarny Montalembert, niebawem odezwały się głosy ks. ks. Lacordaire'a i Ravignana z kazalnicy Notre-Dame w Paryżu, cały zastęp wykształconego kleru świeckiego i zakonnego pod kierunkiem wybitnych jak nigdy dotąd biskupów wystąpił do walki z niewiarą.

Ten ruch nie mógł zostać bez echa w duszach polskich emigrantów, co mogli błądzić i rozpaczać, ale — z małymi wyjątkami — nie chcieli rozbratu z religią. W r. 1836. powstaje w Paryżu t. zw. domek, gdzie Mickiewicz, Zalescy, Witwicki i inni gromadzą się pod kierownictwem Bohdana Jańskiego, aby spędzić codzień pewne chwile na wspólnej modlitwie i — nieraz w związku z francuskimi koryfeuszami odrodzenia religijnego — obmyślać środki skutecznego apostolstwa wśród zobojętniałej dla Boga emigracyi. Gdy Kamocki 1837. r. zjawił się w Paryżu, starał się go Bohdan Jański pozyskać dla swego kółka, ale Kamocki czy to nie wierząc w powodzenie zamierzonego dzieła, czy też widząc chwiejną podstawę finansową domku, nie wstąpił do niego i stądto pochodzą pewne żale Jańskiego w listach do Walerego Wielogłowskiego*).

Ks. Konst. Michalski

(Ciąg dalszy nastąpi). C. Miss.

---

*) Zbiory Richthofena, cfr. n. p. list Jańskiego z 3. lipca 1838. r. do Wielogłowskiego.

Stan szpitalnictwa w Królestwie Polskiem.

Rosyjska Rada ministrów zatwierdziła wniosek ministra spraw wewnętrznych o oddanie pod zarząd miasta Warszawy instytucyi dobroczynnych, zawiadywanych dotychczas przez Radę miejską dobroczynności publicznej. Sprawę tak ważną rozstrzygnięto już zasadniczo i niebawem przejdzie w zarząd miasta 26 instytucyi dobroczynnych, mianowicie 12 szpitali z 3018 łóżkami, 10 schronisk i przytułków dla sierót, starców i nędzarzy różnego gatunku i kilka przytułków położniczych. Rada miejska dobroczynności publicznej ustępuje, pozostawiając za sam 1905. rok 360.306 rb. deficytu. Na społeczeństwo nasze spada teraz ważny obowiązek opieki szpitalnej, którą mu odjęto od lat kilkudziesięciu. Jak po tych przeszło 50 latach wygląda stan naszego szpitalnictwa, to najlepiej nam to przedstawia książka p. t. Medycyna w samorządzie, stan obecny lecznictwa publicznego w Królestwie Polskiem, jego braki i potrzeby. Wydane staraniem grona lekarzy warszawskich. Warszawa, 1906., stron 298. Treść i ogólne postulaty tego tak ważnego dzieła chcemy tu przedstawić.

Stuletni okres rządów biurokracyi rosyjskiej w Królestwie Polskiem powstrzymał ogólny rozwój kultury naszego narodu. Los ten stał się i udziałem szpitalnictwa naszego i hygieny publicznej. Szpitalnictwo w Polsce dorównywało w XVIII. wieku najkulturalniejszym narodom Europy, pod rządami biurokracyi rosyjskiej uległo jednak zupełnemu upadkowi tak, że dziś po 100 latach stoi niżej od najmniej kulturalnych części Rosyi. Szpitale i zakłady przemieniły się przedewszystkiem w posterunki akcyi rusyfikacyjnej, to też społeczeństwo usunęło się od nich zupełnie. Dziś można, wykazując niesłychane braki na tem polu, przedstawić plan przyszłej działalności. To właśnie jest zadaniem powyższej książki, w której autorowie wyczerpują do dna warunki hygieny publicznej, poczynając od szpitali, a kończąc na kształceniu lekarzy.

Za czasów niepodległej Polski powstawały szpitale przeważnie z inicyatywy duchowieństwa tak świeckiego jak zakonnego. W r. 1775. państwo objęło opiekę nad szpitalami przez tak zwane Komisye szpitalne, które w r. 1785. zamieniono na Komisye dobrego porządku. Na końcu XVIII. i na początku XIX. wieku przemieniły się dopiero nasze szpitale w zakłady lecznicze, przedtem były to tylko dobroczynne przytułki; teraz więc zjawia się stała posługa lekarska i obok ubogich, starców, przyjmuje się chorych w celu leczenia. Małe szpitale parafialne zniesiono, pozostały tylko miejskie, rozporządzające większymi funduszami. Po różnego rodzaju zmianach zaprowadzono w roku 1832. Radę

główną opiekuńczą nad szpitalami z Radami opiekuńczemi po miastach. Społeczeństwo nasze, na cele humanitarne tak ofiarne, garnęło się do opieki nad szpitalami; do roku 1870. powstało ich 47 i wszystkie powierzono S. S. Miłosierdzia. których usługi wiekowe po szpitalach oceniało należycie tak polskie społeczeństwo, jak nawet i rząd prawosławny. Zwolna jednak już po roku 1832., a zwłaszcza po 1863. zaczęto usuwać obywateli Polaków z grona Rad opiekuńczych, a miejsca ich obsadzano jenerałami, komisarzami wojennymi i gubernatorami, którzy mieli teraz zastąpić „nieprawomyślnych“ Polaków. Około roku 1870. niema już w Radach opiekuńczych żadnego Polaka, i odtąd też rozpoczyna się gospodarka biurokratyczna, dochodząca do ostatecznego bezprawia. Zastój ogarnął nasze szpitalnictwo mimo, że kraj od tego czasu niesłychanie się ekonomicznie rozwinął, a ludność miast w czwórnasób się pomnożyła. W dodatku w roku 1856. namiestnik wydał rozporządzenie, „że zakazuje się zawiązywania przez osoby prywatne instytutów dobroczynnych bez poprzedniego uzyskania w tej mierze zezwolenia komisyi rządowej“. Po roku 1863. Rady opiekuńcze muszą naczelników żandarmeryi zawiadamiać o swych posiedzeniach. Wreszcie w roku 1870. Radę główną opiekuńczą zniesiono i ustrój nasz szpitalny połączono z Radą główną opiekuńczą w Petersburgu. Zato powstają teraz Rady dobroczynności publicznej, w skład których wchodzą sami urzędnicy nawet niższej kategoryi, jak żandarmi, strażnicy pograniczni, duchowni prawo-

sławni, inspektorowie podatkowi, naczelnicy powiatowi, naczelnicy więzień i t. d. Kontrola rządowa, administracyjny język rosyjski i natarczywa rusyfikacya zniszczyły nasze szpitale; zwłaszcza popi prawosławni i Elżbietanki zaczęli traktować szpitale jako posterunki misyi religijnej, narzucając nawet konającym w brutalny sposób prawosławie, jak to miało miejsce n. p. w Szczebrzeszynie, Białej i indziej. Rady dobroczynności publicznej zaczęły swoje rządy od usuwania Sióstr Miłosierdzia, w których miejsce wprowadzano prawosławne Elżbietanki czerwonego Krzyża. W ten sposób straciły Siostry Miłosierdzia szpitale: w Ciechocinku, Grojcu, Lipnie, Lublinie, Wyrozębach, Sterdyniu, Białej, Przasnyszu, Kutnie, Zamościu, Szczebrzeszynie, Krasnymstawie, Milanowie, Radzyniu i we wielu innych miastach, które z bólem serca po wiekowej służbie miłosiernej opuszczać musiały. Rząd nie oglądał się przytem na żadne zapisy i wolę fundatorów; lekkomyślnie trwoniono fundusze szpitalne, budując za nie cerkwie, mieszkania wspaniałe dla Krzyżanek, jak n. p. w Szczebrzeszynie, Białej i po innych miastach. Dzieci po przytułkach sierót pochrzczono przymusowo po schyzmatycku, skoro tylko ustąpiły Siostry Miłosierdzia, jak to miało miejsce w Białej; źródła mineralne w Busku i Ciechocinku zabrali Rosyanie na swój wyłączny użytek, utrudniając koloniom dzieci polskich i S. S. Miłosierdzia przystęp do nich; zmieniano nazwy szpitali, usuwając katolickich Świętych a wprowadzając prawosławnych, jak: Sergiej, Georgiej, Mikołaj i t. d. Wszyst-

kie te zmiany, a zwłaszcza usuwanie samych Sióstr Miłosierdzia, odbywały się wśród niesłychanego niezadowolenia i wzburzenia miejscowej ludności i zwykle w asystencyi wojskowej dopełniali tego urzędnicy. Wobec takiej gospodarki po szpitalach społeczeństwo usunęło się też od nich zupełnie, a ofiarność publiczna zamarła. Szpitale pozostały bez środków: wieczne ubóstwo, walka wprost z nędzą zaczęła odtąd cechować wewnętrzne życie naszych szpitali zwłaszcza prowincyonalnych; brak najprymitywniejszych udogodnień daje się uczuwać na każdym kroku. W dodatku, jakby dla powiększenia rozstroju, rozdrobniono administracyę szpitalną. Niezależnie w każdym szpitalu istnieją obok siebie: 1) lekarz naczelny, 2) kurator, 3) intendent i 4) inspektor szpitala, a obok tego w zarządzie spotykamy Siostry Miłosierdzia. Rząd rusyfikując szpitale, wyjął z pod zarządu miejscowego prawosławne zakonnice, a poddał je zarządowi czerwonego Krzyża w Petersburgu; katolickie Siostry Miłosierdzia ulegają jednak miejscowemu zarządowi każdego szpitala, co ich położenie niesłychanie utrudnia, gdyż wystawia je na nieuszanowanie tych opiekunów i często, nękane moralnie szykanami, musiały z powodu brutalności zarządu opuszczać swoje stanowiska. Prawosławne Elżbietanki zato, uważając się za wszechwładne, rozpoczęły wnet kłótnie z tak skomplikowanym zarządem, przyczem dochodziło do scen gwałtownych i skandalicznych, zwłaszcza w Łodzi, Wyrozębach a przedewszystkiem w Siedlcach, gdzie po kilku miesiącach pobytu musiały je zastąpić inne mniszki prawosławne.

Fundacye szpitali są coraz trudniejsze i stan ich dzisiejszy jest o wiele gorszy niż dawniej. W roku 1867. było na 10.000 mieszkańców łącznie z Warszawą 7 łóżek, w roku 1902. jest już tylko 58 łóżek (bez Warszawy na 10.000 — 3 łóżka, w r. 1902. — tylko 2 łóżka). Samą Warszawę jeszcze więcej upośledzono; w r. 1867. pod zarządem polskim na 10.000 mieszkańców było łóżek 82, a w r. 1902. już tylko 39, gdy tymczasem Paryż na 10.000 chorych ma łóżek 98, Kolonia 91 a Wrocław 87. Wobec tego wszystkie nasze szpitale są przepełnione, chorych kładzie się na siennikach na podłodze, to też tylko nędza ostatnia i ubodzy garną się do tych zakładów. Z pośród 84 powiatów Królestwa 29 nie ma żadnych szpitali, a biurokracya utrudnia budowanie nowych lub marnuje zebrane fundusze. W Końskiem materyał budowlany na szpital leży od r. 1867., podobnież i w Nowomińsku, choć gminy ofiarowały grunta i odpowiednie kapitały. W Sterdyniu i Wyrozębach szpitale miały po dwa folwarki i za rządów Sióstr Miłosierdzia potrafiły się utrzymać, dziś zamknięto już szpital w Sterdyniu, a drugiemu grozi to samo z powodu długów i malwersacyi ze strony prawosławnych Elżbietanek. Same istniejące szpitale pozostawiają wiele do życzenia: urządzenia ich wadliwe, brak wentylacyi i centralnego ogrzewania nawet w pierwszorzędnych szpitalach; domy administracyjne i pomieszkania dla Sióstr wielce niewygodne, kuchnie szpitalne brudne i bez urządzeń nowszych, n. p. w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Dezynfekcyi bielizny się

nie zna, prosektorya nieznośne i wilgotne, n. p. w szpitalu Dzieciątka Jezus trupy po 24 godzinach są już zgniłe; posługacze i posługaczki śpią w kuchniach, po salach chorych. Łóżka są jeszcze drewniane, oświetlenie wadliwe, napływ chorych olbrzymi, n. p. etat chorych w szpitalu Dzieciątka Jezus obliczono na 600 osób, a zazwyczaj jest przeszło 800 chorych. Szpitale prowincyonalne są niemniej w złych warunkach, zwłaszcza, o ile mieszczą się w dawnych budynkach klasztornych, szkolnych albo wynajętych. Sami chorzy są ilościowo i jakościowo źle odżywiani. W szpitalach warszawskich koszt dzienny pożywienia chorego wynosi 20 kopiejek już od roku 1900. Biurokratyzm nie liczy się ani z warunkami istotnych potrzeb ustroju chorych ani z wahaniem się cen. O jakiemś indywidualizowaniu pożywienia według kategoryi chorych mowy być nie może. Na prowincyi pożywienie dzienne chorego wynosi 13—15 kopiejek; albo czyż może Siostra Miłosierdzia nakarmić 20 chorych dziennie za 2·60 rb., które jej wypłaca zarządca szpitala? a tak się dzieje po szpitalach na prowincyi. Ostatnia nędza szuka też schronienia po szpitalach, lud ich unika, bojąc się głodzenia.

Do rzędu najciemniejszych stron szpitalnictwa należy pielęgnowanie chorych. Trzy kategorye osób opiekują się chorymi: Siostry Miłosierdzia, felczerzy i służba niższa. Pomijając inne względy, Sióstr Miłosierdzia jest w szpitalach stanowczo za mało, by się należycie mogły zająć pielęgnowaniem chorych. Na głowie takiej Siostry spoczywa cała administracya oddziału, która pochłania

jej główną część czasu, a to tem bardziej, że trzeba wciąż walczyć z brakiem najistotniejszych rzeczy, jak jedzenia, bielizny, ubrania a nawet termometrów. To też poza kłopotami gospodarczymi Siostra może znaleźć ledwie trochę czasu, by jako tako pomierzyć chorym ciepłotę i jaki taki rygor utrzymać wśród służby niższej. Jeszcze mniej powołani do opieki nad chorymi są felczerzy; są to pomocnicy przychodni, spędzający za lichem wynagrodzeniem jakąś godzinę lub parę w szpitalu. W tych warunkach główny ciężar obsługi chorych spada u nas na barki nieinteligentnej, brudnej, nieraz obdartej służby niższej. Na jednego posługacza lub posługaczkę wypada 12 do 16 a nawet 20 chorych; nadto są licho płatni i po strajku w lutym 1906. roku otrzymuje mężczyzna 7 rb., a kobieta 5·50 rb. miesięcznie. Płaca taka, ciężka praca, liche pożywienie, spanie po salach chorych lub we wilgotnych suterenach, ściąga naturalnie do służby szpitalnej ludzi najuboższych i niedołęgów, nie znajdujących miejsca gdzieindziej. Dalej zasługuje na zaznaczenie, że szpital takiej służbie, rekrutującej się często z nędzarzy, nie daje prócz fartuchów i bluz żadnej bielizny, to też za zasługę trzeba to policzyć Siostrom Miłosierdzia, że starają się wszelkimi sposobami choć w bieliznę posługaczy zaopatrzyć, by mniej swym brudem razili. Zdarzało się, iż Siostry szyły im koszule z worków, w których produkty do kuchni były dostarczane, albo poświęcano na to część płótna dla chorych przeznaczonego; jest to z ujmą dla chorych, lecz faktycznie niema tu innego sposobu wyjścia, skoro Rada

miejska dobroczynności o takich potrzebach nic wiedzieć nie chce. Wobec takiego stanu rzeczy pielęgnowanie chorych jest wielce zaniedbane. Jeszcze w dzień sprawa przedstawia się jako tako ze względu na to, że na salę zajrzy czasem lekarz lub Siostra Miłosierdzia i służba jest przeważnie na sali obecna. W nocy chory, pozostawiony bez wszelkiego dozoru, jest na łasce służby dyżurnej. W niektórych szpitalach nad służbą mają w nocy dozór S. S. Miłosierdzia, które po dwie kolejno obchodzą pawilony. W innych szpitalach i tego nawet niema. W tem na przykład położeniu znajduje się większy szpital Dzieciątka Jezus w Warszawie. Niemnie, obsługa sal operacyjnych pozostawia wiele do życzeniaj I tu znowu nieinteligentny służący spełnia wszystko; Siostra miłosierdzia bowiem, zajęta innemi czynnościami w oddziale, ogranicza swój udział zazwyczaj do przechowywania i częściowego wydzielania materyałów opatrunkowych oraz do przyrządzania gazy jodoformowej.

Tego opłakanego stanu rzeczy nie można poprawić, bo lekarze szpitalni w swych obradach są skrępowani, a uchwał ich nie wykonują Rady nadzorcze. np. nie wykonano uchwały dodania czterech S. S. Miłosierdzia do szpitala Dzieciątka Jezus dla pełnienia dyżurów nocnych. Ogromne ograniczenie środków i metod leczniczych cechuje zarządy naszych szpitali. Niemożliwą jest wprost jakakolwiek dyetetyka wobec 20 kopiejek dziennie, jakie Rada nadzorcza wyznacza na chorego, co jest niesłychanie nizkiem wobec wysokich cen targowych w Warszawie; stąd też produkty poży-

wienia są liche. Na środki lecznicze dla chorego płacą w Warszawie 8 kop. dziennie, w czem się mają mieścić lekarstwa, opatrunki, narzędzia chirurgiczne i t. d. Aptekami szpitalnemi zarządzają S. S. Miłosierdzia i felczerzy, lecz dopiero w tym roku pozwolił rząd na krótki kurs farmacyi dla nich, jaki urządził inspektor szpitali w Warszawie. We wielu szpitalach prowincyonalnych, walczących z ostateczną nędzą, niema nawet S. S. Miłosierdzia, więc chorzy są na łasce szpitalnych posługaczy; niema tam klasyfikacyi chorych, dezynfekcyi, wogóle panują tam stosunki niemożliwe w państwie cywilizowanem.

Opieka nad obłąkanymi znajduje się niemniej w smutnym bardzo stanie. Za czasów Rzeczypospolitej Polskiej mieli u nas Bonifratrzy 15 szpitali dla obłąkanych. Niektórzy z Bonifratrów zasłużyli się wielce około medycyny polskiej, jak ks. Perzyna, bracia: Niklaszewski († w r. 1641.), Genuin Modestus, nadworny lekarz króla Jana Kazimierza i inni. Oni to opiekowali się obłąkanymi mężczyznami, niewiasty znajdowały schronienie u S. S. Miłosierdzia. Obecnie jest 6 szpitali dla obłąkanych w Królestwie Polskiem, inne poznoszono, a fundusze ich jak i fundusze poznoszonych szpitalików parafialnych zniknęły gdzieś w tajemniczy sposób. Z pomiędzy tych 6 szpitali dwa tylko są pod opieką S. S. Miłosierdzia. W szpitalu w Krasnymstawie służba dopełnia opieki nad chorymi. W Lublinie w szpitalu św. Jana Bożego są prawosławne Elżbietanki, obok tego istnieje tu drugi szpital dla obłąkanych św. Wincentego a Paulo.

Szpital ten, zbudowany w r. 1835. z ofiary Daniłowiczów, posiada kapitał żelazny 85.300 rb., powstały z oszczędności Szarytek za czasów, kiedy same zarządzały majątkiem szpitalnym, w skład którego wchodzi majątek Świdnik Duży, 765 morgów, łąka przy ogrodzie szpitalnym i 1500 morgów lasu. Zapomóg od rządu nie dostaje żadnych. Rada dobroczynności publicznej, złożona z Rosyan, odsunęła S. S. Miłosierdzia od zarządu dóbr i zamiast dawnych oszczędności naruszyła już kapitał żelazny w kwocie 14.000 rb. do dziś, żeby pokryć niedobory, pochodzące ze złodziejskiej gospodarki. Dziś szpital utrzymuje się głównie z opłat chorych — 60 kop. płaci się dziennie od umysłowo chorego. Pożywienie jest urozmaicone i wystarczające dzięki zapobiegliwości S. S. Miłosierdzia. Szpital w Tworkach, największy w Królestwie, ma 725 umysłowo chorych; powstał za czasów autonomii Królestwa, przebudowany w roku 1891. S. S. Miłosierdzia jest w nim 11, stanowisko ich jest wielce utrudnione wobec szczególnego uprzywilejowania elementu prawosławnego. Gospodarka niecna dochodzi tu do szczytu; szpital muszą utrzymywać gubernie bez względu na to, czy mają w nich chorych czy nie. Podatek na to wyznacza się z góry. Fundusz żelazny, składany od lat kilkudziesięciu, a dochodzący do 450.000 rb., znikł w ostatnich czasach bez śladu i wieści. Na jedną Siostrę wypada 37 obłąkanych. Opieka nad umysłowo chorymi stanowi bez wątpienia najsmutniejszą kartę tego szpitala, ale zato są cerkwie przy zakładach, pieniądze idą na Czerwony Krzyż, na dodatki dla urzę-

dników Rosyan, wogóle nawet obłąkanych się rusyfikuje, co niektórych z nich, dotkniętych manią prześladowczą na tle politycznem, do wściekłości doprowadza.

Nakoniec wypada nam wspomnieć o sławnym zakładzie ks. Bodouina w Warszawie. I tu niecna gospodarka rosyjska zrobiła swoje. Dom ten założył w roku 1737. ks. Piotr Bodouin ze Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy, jako pierwszy „instytut do wychowania dzieci podrzuconych". Zakład ten przetrwał wszystkie burze i nieraz ulegał ostrej krytyce, zwłaszcza w czasach fałszywego liberalizmu. Ks. Ks. Misyonarze zdołali go jednak zawsze obronić. Dr. Wolff za czasów Księstwa Warszawskiego podawał bardzo radykalny projekt zupełnego zniesienia tego zakładu, „gdyż instytuty takie nigdzie (w Paryżu i Wiedniu) nie odpowiadają swemu przeznaczeniu, ani w widokach ekonomicznych, dążących do pomnożenia ludności krajowej, gdyż z dzieci które tam przyjęte zostały, mała tylko liczba dochodzi do wieku dojrzałego; ani też w zamiarze moralnym, dążącym do zapobieżenia wielkim przestępstwom, mianowicie z morderstwa dzieci pochodzącym; przeciwnie psują moralność, gdyż podają sposobność lekkomyślnym małżeństwom pozbycia się takowym sposobem dzieci". Na zarzut ten słusznie odpowiada autor, że procesy t. zw. fabrykantek aniołków jaskrawo wykazują, że niemowlęta nie mogą być wychowywane w przedsiębiorstwach prywatnych, lecz jedynie celowi temu odpowiada instytucya społeczna, t. j. dom podrzutków. Zakład ks. Bodouina był potrzebnym dla kraju, a zwłaszcza

dla Warszawy XVIII. wieku. W roku 1736. sam czcigodny założyciel zebrał 48 dzieci, po otwarciu zakładu zaraz w pierwszym roku dzieci było już 241; odtąd ze wzrostem miasta Warszawy i rozwojem ekonomicznym kraju wzrasta stopniowo i liczba dzieci. W r. 1768. dzieci jest 500, w 1790. — 800, w 1815. — 1980, w 1830. — 1785, w 1850. — 3440, w 1860 — 5835, w 1869. — 8165 a w 1871. — 13.155, najwyższa cyfra, jaką osiągnęła liczba dzieci pod zarządem polskim. W r. 1869. usunięto społeczeństwo polskie od zarządu tej instytucyi, opartej dotychczas na ofiarności publicznej i żywem zainteresowaniu się społeczeństwa. Do r. 1871., t. j. do roku, w którym Polacy mieli przewagę w Radzie dobroczynności, instytut stoi na wysokości intencyi swego założyciela i nawet w najcięższych dla kraju czasach Ks. Ks. Misyonarze i S. S. Miłosierdzia umieli znaleźć środki dla tych najbiedniejszych i najbardziej politowania godnych. Od r. 1871. liczba dzieci zmniejsza się ciągle i dochodzi do połowy tak, że dzisiejszy stan zakładu z 7185 dziećmi równa się stanowi w r. 1869., pomimo, że Warszawa się trzykrotnie powiększyła, dobrobyt się podniósł, a proletaryat się powiększył. Smutny to obraz gospodarki Rady. Na to złożyły się i rządy biurokracyi: najpierw zniesiono kołowrotek t. j. maszynę, w którą układało się dziecko na zewnątrz domu, po nakręceniu koła odbierała je administracya domu. Metoda ta ma wielkie zalety, chroni matkę od wstydu, wyczekiwania na przyjęcie i t. p., ale ma też strony ujemne, jak zbyteczna łatwość i, co zatem idzie, lekko-

myślność w pozbywaniu się dzieci, utrata stanu cywilnego dziecka i t. d. Sposób więc ten zarzucono w Europie i wprowadzono na wzór francuski przyjmowanie dzieci oddawanych jawnie przez matki lub przez osoby upoważnione — to, co się we Francyi nazywa *a bureau ouvert*. Takie biuro zastała już Rada w domu ks. Bodouina obok kołowrotka, którego znieść się nie odważono. Teraz Rada znosi kołowrotek, a całą dobroczynność przy domu otacza coraz większemi formalnościami, aby się matki legitymowały, posiadały paszport, świadectwo rządcy domu o ubóstwie, metrykę dziecka i t. d. W ten sposób biuro przyjęć stało się biurem policyjnem i to był ten zbawienny środek dla Rady, że liczba dzieci spadła do połowy i do dziś na tym poziomie się utrzymuje. Nadto dzieci przyjmują trzej intendenci, urzędnicy brutalni, zamiast S. S. Miłosierdzia, które od tego zajęcia usunięto, co naraża matkę na wstyd i niepotrzebne indagacye, a jeżeli weźmiemy jeszcze na uwagę szczególne uprzywilejowanie prawosławnych, to będziemy mieli obraz chytrych, a rzekomo roztropnych rządów biurokracyi. Przeciętnie przyjmuje się 1200 dzieci rocznie do zakładu. Uboga matka, najczęściej służąca, musi przynieść dziecko ochrzczone z metryką (w przeciwnym razie chrzci je pop prawosławny), różne świadectwa i otrzymuje numer, który jest zwykle o 400 i kilka wyżej, niż ten, który się przyjmuje; z reguły bowiem troje dzieci przyjmuje się codziennie do zakładu. Biedna matka musi więc czekać 133 dni, t. j. 4 i pół miesiąca na przyjęcie. Przez ten czas trzeba się tułać z dzieckiem, bo policya

swoje nadsyła dziesiątkami i następstwo numerów zostaje opóźnione. Wobec takich utrudnień nic dziwnego, że przed zakładem wychowawczym uwija się dziś ciągle cała czereda kobiet rajfurek-stręczycielek, które za sutem wynagrodzeniem pośredniczą między zarządem zakładu a matkami. Te osoby zjawiły się zaraz po zniesieniu kołowrotka i pospolicie używają ich pośrednictwa ubogie służące, chcąc uniknąć wstydu, wyczekiwania na numery i t. d. Z tego okazuje się, że stary żłóbek albo kołowrotek św. Wincentego był jeszcze najlepszym i najprostszym środkiem ochrony dzieci i matek. Na etacie znajduje się w zakładzie 120 dzieci; za dziecko przy piersi płaci się 2 rb., a 1·50 rb. za dziecko na wsi do lat 7; mamka młodsza otrzymuje 5 rb. miesięcznie wynagrodzenia, starsza 6 rb. Po dawnych budowlach, wzniesionych za ofiarny grosz społeczeństwa polskiego, wybudowano dopiero przed 3½ laty nowy dom na gruntach folwarku Świętokrzyskiego. Zakład sam jest dla 7000 dzieci stanowczo za szczupły, w dodatku nie dba się w nim o elementarne wykształcenie dzieci, ani o naukę rzemiosł; jedynie rusyfikacyę popiera się całą forsą, bo dano Rosyankę za nauczycielkę dla dzieci polskich i katolickich. Jednem słowem, dziś pod takim zarządem zakład nie odpowiada swemu celowi i nie spełnia swego zadania. Należy znieść biuro przyjęć, a czynność tę powierzyć jak dawniej S. S. Miłosierdzia. Wogóle instytut ks. Bodouina, jak powstał z potrzeb społeczeństwa, musi znowu wrócić do rąk tegoż spo-

łeczeństwa, jeżeli ma spełnić swoje zadanie i odpowiadać swemu celowi.

Oto krótki szkic potrzeb naszego szpitalnictwa w Królestwie; zaiste, w smutnem znajduje się położeniu. Wielka krzywda dzieje się społeczeństwu, które w zamian za olbrzymie podatki nie doznaje żadnych dobrodziejstw ze strony rządu. W r. 1903. podatki z Królestwa przyniosły rządowi 141,793.601 rb. dochodu; z tego na utrzymanie wojska w Polsce wydano 101,583.269 rb., a zatem 40 milionów pozostaje czystego dochodu, które idą na ogólne potrzeby państwa w głąb Rosyi.

Niezawodnie, wobec takiego stanu rzeczy trzeba będzie długiej pracy społeczeństwa a zwłaszcza pracy lekarzy, którzy te braki najlepiej widzą, by nasze szpitalnictwo wróciło do dawnej świetności i do dawnego porządku, jakiego się domagamy od tych instytucyi, jeżeli mają wychodzić na pożytek cierpiącej ludzkości.

Ks. Jan Rzymełka
C. Miss.

Przemowa Prezesa generalnego

na ogólnem zebraniu Towarzystwa św. Wincentego a Paulo d. 8. grudnia 1906 r. w Saint-Germain- l' Auxerrois w Paryżu.

(Dokończenie).

Dzieło tanich kuchni, które na pozór zdaje się tylko pomoc materyalną mieć na względzie, nastręcza niejednokrotnie naszym członkom i zacnym ich pomocnikom sposobność, przy rozdawaniu posiłku, do wsunięcia zdrowych rad i duchownych wskazówek.

Nie powinniśmy pomijać rzeczy tak ważnej w czasach dzisiejszych, jaką jest prasa i to prasa dziennikarska. To też wszelkich starań dokładamy w rozpowszechnianiu naszych illustrowanych drobnych pisemek (Lectures) redagowanych starannie, a niemających żadnej barwy politycznej, jakoteż naszych pouczających i zajmujących kalendarzy dla każdej kieszeni z powodu niskiej ceny przystępnych; radzibyśmy więcej jeszcze uczynić i w tym celu zachęcamy wszystkie Konferencye do zakładania bibliotek zawsze dla publiczności otwartych a w wyborowe dzieła zaopatrzonych.

Bez ujmy dla uczynków miłosierdzia co do ciała, radzibyśmy rozwinąć i doskonalić uczynki miłosierdzia co do duszy.

Konstatujemy, iż takowe dążności stają się tendencyą powszechną naszego Towarzystwa; ogarniają członków naszych i za granicą, w Niemczech, Ameryce, Kanadzie, Australii. Walczymy o duszę ludu konającą z nieświadomości i niewiary; radzibyśmy powtórzyć choćby z pewną restrykcyą sławne zdanie biskupa Kettelera z Moguncyi przed pięćdziesięciu laty wypowiedziane: Gdyby święty Paweł żył w naszych czasach, to byłby dziennikarzem, choć święty Paweł o politykę się nie troszczył, on tylko Chrystusa Pana głosił wszystkim narodom.

Sądzimy, żeśmy wam dostatecznie wykazali drodzy Współbracia, iż wstępując do Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, przedewszystkiem sami sobie dobrze czynicie i dla własnego zbawienia pracujecie. Jakże się więc dzieje, że tylu chrześcijan mogących zespolić się z nami, usuwa się od tego, i że to czynią ci właśnie, co posiadają wszelkie zalety, aby być doskonałymi dla nas współpracownikami? Wystawiają sobie zapewne, że wymagalibyśmy od nich zobowiązań przechodzących ich siły. Jakież to mylne zapatrywanie! Zdają się nie wiedzieć, iż jarzmo takowe lekkie, a ciężar nader słodki. Nic łatwiejszego, jak obowiązki naszego posłannictwa. Czyż jest doprawdy człowiek, coby z odrobiną dobrej woli nie mógł poświęcić godziny tygodniowo na udział w Konferencyi, a pół godziny na odwiedzenie jakich ubogich własnej dzielnicy? Czynią to przecież członkowie Konferencyi robotniczych, mimo, że w pocie czoła dzień cały pracują na wyżywienie rodziny.

Członkowie tych małych Konferencyj niejednokrotnie budują nas przykładem swoim. Możnaby tomy pisać, gdyby się na jaw wydobyć chciało cuda ich przemyślnej miłości. Posiadają dar dziwny zastępowania braku pieniędzy, bo tak umieją służyć ubogim, że całkowicie ich serca pozyskują.

Ach, jakże dobroczynnem jest Dzieło nasze względem nas samych, cośmy się mu oddali; korzyści nieobliczone czerpiemy z nawiedzania ubogich, że przytoczymy tu słowa, które w ostatniej udzielonej nam audyencyi wypowiedział Ojciec św.: „Jakże błogo zasypiać z wieczora, gdy dzień nam zeszedł na wspomaganiu ubogich!"

Znacie z doświadczenia, drodzy Współbracia, te ciche niewysłowione rozkosze. Przelejcie wasze uczucia w przyjaciół i krewnych waszych, może zwyciężeni, wstąpią w szeregi nasze i słodki ten gwałt im zadany, wam zawdzięczać będą.

Zasadom naszym pozostańmy wiernymi; każde Dzieło na tym świecie ma granice, których przekraczać nie może bez narażenia się na utratę swojej łaski stanu. Szerokiem jest pole działania przed nami otwarte, możemy więc w miarę potrzeb, wynikających z biegu czasu, uzupełniać wszechstronną czynność naszą. Ludzie młodszego pokolenia pod nasz sztandar się zaciągający, wnoszą świeżą inicyatywę, młode zapały i Dzieło nasze z potrzebami obecnej doby zespolą. Tym właśnie sposobem wytwarza się ruch i życie w jednolitym ustroju reguł i kierunku.

Jeden ze słynnych członków Akademii naszej wypowiedział ostatniemi czasy to zdanie, że sposobów niesienia ulgi jest tyle, ile jest rodzajów boleści, a zatem rozmaitość równomierna w miłosierdziu i cierpieniu.

Na zakończenie powiedzmy sobie, że chcąc się oddać zupełnie bliźniemu, chcąc mu służyć całem sercem, całą duszą, wszystkiemi siłami naszemi, musimy przedewszystkiem szukać królestwa Bożego, a reszta nam już do tego przydaną będzie.

Biuro Sprawdzań Nędzy Wyjątkowej w Krakowie.

Celem Biura jest niesienie ubogim skutecznej materyalnej pomocy, po sprawdzeniu osobistem, każdego zgłaszającego się lub poleconego przez kogokolwiek, ubogiego i w miarę możności, przez udzielanie bonów lub pieniężnych wsparć wyjątkowo, aż do wyszukania odpowiedniej pracy, lub umieszczenia chorego w Zakładzie dobroczynnym, dzieci zaś, w Zakładach wychowawczych, w sklepach lub warsztatach. Wszelkie sprawy wchodzące w zakres czynności, załatwiają się: w poniedziałki i czwartki, od godz. 10. do 12. w Biurze Sprawdzań, Rynek L. 28, I. piętro. Biuro otwarte od 1. października do 1. maja. Zarząd składa się: z Prezesowej hr. Andrzejowej Potockiej, Zastępczyni z ks. Radziwiłłów Zygmuntowej Dembowskiej i 25 Pań czynnych, oraz Sekretarza i Szatnej, która się zajmuje szwalnią, gdzie się szyją sukienki, bielizna i wedle możności, odzież, dla starszych. Przy zamknięciu roku 1906 do 1. maja 1907, tak się przedstawia:

Zestawienie roczne Kasy Biura Sprawdzań.

Przychód:

Hr. Andrzejowie Potoccy	2.832 K	–	h
Hr. Stanisław Tarnowski	510 „	–	„
Hr. Zdzisław Tarnowski	600 „	–	„
Pani Adamowa Szołajska	321 „	–	„
Hr. Branicka	497 „	–	„
Pani Zygmuntowa Dembowska	390 „	–	„

Ks. Michałowa Ogińska	100	K	– h
Z Resursy krakowskiej	100	„	– „
Pan Komirowski	73	„	– „
Hr. Karolowa Raczyńska	121	„	– „
Z odczytów i przedstawień	500	„	– „
Z kwest w kościołach	162	„	– „
PP. Brzozowscy	242	„	– „
Ks. Prałat Krzemieński	100	„	– „
Z redakcyi „Czasu"	179	„	– „
Wkładki Pań Uczestniczek i od różnych osób . .	1.207	„	92 „
Razem . . .	7.934	K	92 h

Rozchód:

Apteka	217	K	23 h
Okulary	10	„	– „
Obuwie	185	„	– „
Ubrania	392	„	86 „
Wychowanie 7 dziewczynek	840	„	– „
Umieszczenie chłopca	100	„	– „
Maszyny kupione dla użytku biednych	70	„	– „
Pensya sekretarza, studenta	210	„	– „
Utrzymanie kaleki	100	„	– „
Mąka, kasza i t. p.	1.026	„	90 „
Chleb	700	„	32 „
Mleko	272	„	42 „
Hr. Andrzej Potocki ofiarował węgli cnt. 500, Magistrat ofiarował cnt. 300	–	„	– „
Rozwiezienie węgla	116	„	25 „
Kupiono węgla 567 centn.	526	„	98 „
190 obiadów rozdanych biednym	38	„	– „
Święcone dla biednych	87	„	– „
Pokrycie wydatków Taniej kuchni	100	„	– „
Rozdane gotówką	2.078	„	42 „
Razem . . .	7.071	K	38 h

Zestawienie:

Przychód	7.934 K 92 h
Rozchód	7.071 „ 38 „
Pozostaje w kasie . . .	863 K 54 h

Opatrzność.

(Lwowskie Towarzystwo Miłosierdzia).

Tow. Miłosierdzia „Opatrzność“, utrzymujące we Lwowie „Dom Pracy“ przy ul. św. Piotra L. 39, w którym ma stały przytułek około 100 ubogich, wprowadza z dniem 1. sierpnia 1907 r. w tym Zakładzie nowy rodzaj pracy, mianowicie utrzymanie w porządku i upiększanie kwiatami i roślinami grobów i grobowców na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, za stałą, opłacaną z góry roczną należytością, stosownie do rodzaju zamówienia.

Towarzystwa dobroczynne, zajmujące się tem zadaniem, istnieją niemal we wszystkich większych miastach Monarchii i są wielką dogodnością dla osób interesowanych, które w pewne ręce oddają w opiekę grobów swoich zmarłych członków rodziny, a równocześnie przyczyniają się pośrednio do ulżenia nędzy. Przypuszczać więc wypada, że i we Lwowie urządzenie to zyska poklask i poparcie.

W razie powiększenia się dochodów, Towarzystwo „Opatrzność“ zamierza przyjąć do „Domu Pracy“ większą ilość ubogich i przez to usuwać żebractwo w mieście.

Na rok bieżący przyjmuje Dyrekcya „Domu Pracy“ zamówienia tylko na uporządkowywanie grobów i podlewanie już tam zasadzonych kwiatów, gdyż nie można było jeszcze wypielęgnować na czas dostatecznej ilości kwiatów do upiększania grobów, aby módz odpowiedzieć liczniejszym zamówieniom. Na wiosnę zaś r. 1908 rozpocznie Towarzystwo także upiększać groby własnymi kwiatami, na czas od 15. maja do 15. października. Roczne opłaty

są nizkie, zastosowane do cen miejscowych i sposobu upiększania grobów, a wykonanie zamówień będzie do 8 dni uskutecznione.

Towarzystwo przyjmuje także stałe dotacye lub legaty, ustanowione na trwałe coroczne uporządkowywanie — upiększanie kwiatami, oraz konserwacyę grobów, tudzież oświetlanie ich w dniu Zadusznym.

Towarzystwo „Opatrzność" przyjęło już taką stałą dotacyę w kwocie 4.000 K od członka rodziny ś. p. Wieczyńskich, celem zaopiekowania się trwałego tym grobowcem.

Osoby interesowane zechcą przy zamówieniach dokładnie oznaczyć pole cmentarza i numer odnośnego grobu, względnie grobowca na cmentarzu Łyczakowskim — oraz podać dzień, miesiąc i rok śmierci, tudzież imię i nazwisko zmarłego członka rodziny. Wszelkie zamówienia ustne lub pisemne przyjmuje oraz wyjaśnień udziela Dyrekcya „Domu Pracy" we Lwowie obok cmentarza Łyczakowskiego (róg ulicy Kochanowskiego i św. Piotra). Według statutu stoi Towarzystwo Miłosierdzia „Opatrzność", pod opieką Reprezentacyi miejskiej. Towarzystwo uprzejmie prosi interesowaną Publiczność, aby łącząc pietyzm dla zmarłych członków swych rodzin z uczynkiem dobroczynnym, raczyła popierać szlachetny cel Towarzystwa, którym jest niesienie ulgi w niedoli ubogich.

Konferencya w Jezierzanach przy Czortkowie.

Jedną z najpiękniejszych pamiątek, jakie po sobie zostawił pierwszy domu tutejszego superyor Czcigodny Ks. Kiedrowski, było Towarzystwo św. Wincentego a Paulo. Przy schyłku urzędowania swego w domu i w parafii, wystarał się o statuty potrzebne, które otrzymał od Najprzew. Ks. biskupa Puzyny, podówczas sufragana lwowskiego, wraz z błogosławieństwem i życzeniami, aby Towarzystwo w Jezierzanach rozwijało się jak najpomyślniej i pożytków jak najwięcej wydawało dla Kościoła i kraju. Pierwszy jego następca Ks. Stanisław Tyczkowski myśl tę pochwycił w samym początku

swego w Jezierzanach pasterzowania, a wsparty radą i pomocą W. P. Zygmunta Kościszewskiego i ś. p. Ferdynanda Gamskiego, zdołał myśl tę do skutku przyprowadzić i Towarzystwo tutejsze zorganizować.

Zdawało się, że tu nie będzie dla kogo, ani z kim konferencyi zawięzywać, bo Podole nasze, to żyzny, urodzajny kraj, żebraków trudno było i dostrzedz na nabożeństwach niedzielnych, czy na odpustach. Dwory znowu przeważnie w rękach żydowskich, urzędników nie wielu – i z kim tu do dzieła takiego się zabierać? Jakoś jednak Bóg dał, że się wszystko znalazło. Na pierwsze zaraz posiedzenie Towarzystwa, które się odbyło dnia 27. sierpnia 1894 w domu Ks. Ks. Misyonarzy w Jezierzanach, stanęło pierwszych kandydatów do tego zbożnego dzieła 14. Prezesem wybrano jednozgodnie WP. Teofila Witosławskiego c. k. notaryusza z Borszczowa, wiceprezesem WP. Zygmunta Kościszewskiego, sekretarzem Ks. Stanisława Tyczkowskiego, skarbnikiem WP. Antoniego Kraińskiego, a urząd szatnego za zgodą rady dostał się WP. Ferdynandowi Gamskiemu. O bibliotekarzu na razie nie było mowy. Ognistą przemową WP. Prezesa zachęceni zebrani członkowie rozprysnęli się jak iskry po okolicy i rozpoczęli akcyę w duchu i po myśli „Towarzystwa“: zachęcali nowych członków, zbierali dobrowolne datki na rzecz ubogich od tych, którzy jeszcze do Towarzystwa nie przystąpili. Posiedzenia odbywały się z początku stale w Jezierzanach, później także w Borszczowie i w Bilczu, żeby członkom zrównoważyć czynności, jakie mają z powodu odległości i niewygodnych dróg; a na każdem prawie z takich posiedzeń po kilku nowych członków przyjmowano tak, że zaledwie w rok po swojem zawiązaniu Konferencya tutejsza liczyła z górą 50 członków. Później niektórzy umarli, inni wyjechali, to znowu w ich miejsce inni przystępowali do Towarzystwa i ta cyfra utrzymała się do końca r. 1905. Posiedzeń odbyło się 167.

Zdawało się, że na Podolu niema ubogich, że Towarzystwo nie będzie mieć celu. Osobliwsza by to była ta ziemia nasza podolska, żeby tu biednych nie było, skoro sam Zbawiciel zapewnia, że *»zawsze ubogich mieć będziecie«*. Byli i tu, tylko się pochowali,

bo i któż się nimi miał zająć? Wyrachowani materyaliści i spekulanci dawno ich odtrącili; pochowało się wszystko, jak kwiaty i zboża kurczą się pod zmarzłą grudą, kiedy mroźna zima ustanie, to do wiosennego słoneczka wszystko główki podnosi.

Przeglądając protokóły z posiedzeń tutejszych konferencyj, widzi się jawnie, że Towarzystwo tutejsze rzeczywiście jak słońce wiosenne przez 11 lat całej okolicy przyświecało. Między gromadami ubogich zgłaszających się po wsparcie odróżniano rzeczywiście ubogich, wdowy, sieroty, kaleki, od próżniaków i marnotrawców, którzy na wsparcie nie zasługują. Najczęściej powtarzają się zapomogi w tej formie: 5 kilo mąki, 2 kwarty krup, 2 kwarty grochu, 1 topka soli, 1 fura drzewa. Gotówką rzadko kiedy jałmużny udzielano, bo to wielka dla ludu tutejszego pokusa.

W r. 1897 t. j. niedługo po zawiązaniu się Towarzystwa tutejszego cały dochód wynosił 956 złr. 66 ct., z czego w ostatnim roku (od 1 paźdz. 1896) wpłynęło 315 złr. 76 ct. Ogół wydatków wynosił 882 złr. 67 ct.; z tego na rok ostatni 296 złr. 12 ct.

W miejscu i po sąsiednich wioskach wsparto 54 rodzin. Tak się zaznaczyło Towarzystwo tutejsze w jednym z pierwszych lat swego istnienia, a cóż dopiero później, kiedy jeszcze więcej zgromadzało członków.

Prócz wsparć materyalnych, jakiemi ratowało biedną okoliczną ludność, miała za zadanie Konferencya tutejsza i samych jej członków do siebie zbliżyć, w niejednym ducha religijnego drzemiącego rozbudzić, praktyki religijne ożywić. Panowie nasi po dworach, urzędnicy w swoich biurach na prowincyi siedzą zwykle jak pustelnicy, pozbawieni życia towarzyskiego, o jakie znowu po większych miastach nie trudno; zajęci gospodarką i biurowymi kłopotami, często zapominają o piękności naszej religii; mają wiarę, bo mają, ale ją nieraz lubią na dno serca chować, nie pokazywać nikomu. To się mimowolnie człowieka odosobnionego czepia. Konferencya, jak wszędzie, tak i tu potrafiła skupić obok siebie i księży i panów świeckich najrozmaitszych zawodów i stanów i z okolicznej inteligencyi rzadki taki sąsiad, żeby do Konferencyi nie należał. Wywiązało się miłe sąsiedzkie, przyjacielskie, towarzyskie życie.

W kościele tutejszym jedna ławka kolatorska zwykle cały rok stała pusta, bo J. O. Księżna Kolatorka w Bilczu lub w Krasiczynie mieszka; teraz przydano drugą ławkę, przystawiono krzesła i ławy, wszystko zapełnione i jeszcze w obydwóch zakrystyach panowie stoją. Jakże to budujące dla parafian tutejszych, że w niedziele i święta widzą okolicznych panów i panie zajeżdżających na nabożeństwo do kościoła, albo i w Wielki Czwartek, jak wszyscy członkowie Konferencyi wspólnie do Stołu Pańskiego przystępowali!

W r. 1902. J. E. Ks. Arcybiskup Bilczewski wydał Orędzie, nawołując wszystkich do nauczania katechizmu i do dworów również gorące słowo skierował Arcypasterz. Członkowie Konferencyi doskonale Go zrozumieli, zaraz zaczęli po dworach czeladź nauczać. Przykładem świeciły zwłaszcza dworki WW. PP. Siemaszów w Dobranówce i WW. PP. Gamskich w Jezierzanach. Ratując ubogich i o Panu Jezusie nie zapominają; owszem od członków Towarzystwa na dom Boży i inne cele pobożne hojna płynie jałmużna.

Niestety od 1½ roku coś nagle w Konferencyi naszej się popsuło. Przybywszy tu pod jesień zeszłego roku już ten zastój smutny zastałem. Proszę Boga i św. Wincentego, żebym jeszcze doczekał chwili, kiedy znowu Konferencya nasza się przebudzi i po dawnemu wpływ swój dobroczynny na całą okolicę wywierać będzie. Coś wspominają, że w sąsiednich stolicach powiatów: Borszczowie i Czortkowie usiłowano osobne założyć Konferencye. Oby św. Wincenty wyprosił u Boga ludzi odważnych i Jego duchem ożywionych, którzyby pragnienia i porywy jednostek skupić i szczęśliwym uwieńczyć skutkiem potrafili!

Ks. Józef Sokołowicz
ze Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy.

Związek polsko-katolickich Towarzystw dobroczynnych w Poznaniu.

Zjednoczenie towarzystw dobroczynnych w ogólny związek, jest więc w Wielkopolsce rzeczą dokonaną. Niezależnie od opinii i krytyki „Dziennika Poznańskiego", który stosunki miejscowe może znać lepiej, uważamy powyższy związek nie tylko za rzecz korzystną i pożądaną, ale po prostu za konieczną i za olbrzymi krok do postępu i ożywienia akcyi dobroczynnej, a to tem bardziej, że i dobór jednostek wchodzących w skład tak Rady wyższej jak i miejscowej nie pozostawia nic do życzenia. Przy narodowej solidarności, przy uczciwości ludu wielkopolskiego, przy dobrym nadzorze policyjnym, nie można zaprzeczyć, że dobre i pomyślne będą skutki tego połączenia towarzystw dobroczynnych nie tylko przy rozdziale jałmużny dla uniknięcia oszustwa ze strony wspieranych, lecz i dla samych Konferencyi tak męskich jak żeńskich, które się rozbudzi do energiczniejszej akcyi i w ten sposób uchroni od powolnego wymierania. Z trudności na tej drodze napotykanych zdaje sobie dobrze sprawę autor referatu, umieszczonego w I. zeszycie związkowego wydawnictwa, ks. St. Adamski z Poznania. Obok korzyści materyalnych dla towarzystw w zamian za wkładki związkowe (10 marek od stowarzyszeń, a 5 od osób prywatnych rocznie), zakreśla sobie samo biuro związkowe bardzo szerokie pole działania, a zwłaszcza uświadomienie członków w zakresie praw opieki nad ubogimi. Dla członków Konferencyi lub dla chętnych do pracy dobroczynnej, którzy zazwyczaj przynoszą dobrą wolę i ofiarną dłoń do towarzystw, jest to rzecz niezmiernej wagi i wogóle obrona prawna ubogiego i wyzyskanie jego stanowiska prawnego wobec nowych praw i rządu, będzie niezmierną zasługą ze strony zarządu dla społeczeństwa wielkopolskiego, krzywdzonego w tak dotkliwy sposób na tylu innych drogach. Naturalnie, to uświadomienie prawne może dać tylko biuro nieustannie czynne i osoby, które w tej mierze przez ciągłą pracę nabiorą wprawy i rutyny prawnej. Związek poznański

obiecuje, „że pracę na czele związku obejmują ludzie, którzy całą swą siłę, cały swój czas poświęcą tej jednej sprawie“, inaczej dorywcza praca pozbawia ciągłości i rutyny i rzecz cała zwolna upada albo się chwieje, jakto miało miejsce w Wiedniu w związku towarzystw dobroczynnych przy redakcyi „der barmherzige Samaritan“ w Wiedniu albo we Lwowie, gdzie związek towarzystw katolickich ogranicza się na zbieraniu funduszów! Nie od rzeczy będzie nadmienić, że i w Krakowie były usiłowania utworzenia jakiejś komisyi do spraw dobroczynnych w związku z wszystkiemi stowarzyszeniami. Rzecz tem łatwiejsza do przeprowadzenia, że jest tu wiele stowarzyszeń staroświeckich z kapitałami, jak również, że i ze strony rządu była skłonność i inicyatywa do utworzenia tego rodzaju komisyi. Obszerny odczyt o tem wygłosił w r. 1905. Dr. Sikorski, dyrektor biura statystycznego w Krakowie. Przedstawił w nim rodzaj urządzeń dobroczynnych dla biedaków, jak system workhousów czyli domów roboczych w Anglii i system elberfeldzki w Niemczech, pierwszy polega na przymusowem umieszczaniu żebraków w domach roboczych osobno dla dzieci, kobiet i mężczyzn, drugi na ścisłym i surowym dozorze osobistym członków korporacyi dobroczynnej, dopóki się ubogiego nie zaopatrzy albo w stałe zajęcie albo się go gdzieś na koszt gminy nie umieści. Pomimo całej świetności dowodów, zjednoczenie towarzystw krakowskich nie przyszło do skutku, raz, że napływ biednych lub potrzebujących wsparcia jest olbrzymi, n. p. w r. 1905. wskutek wojny rosyjsko-japońskiej doszedł do niesłychanej cyfry 12.000, a po drugie, za małą jest liczba chętnych do pracy dobroczynnej. W Poznaniu jest możliwym tylko t. zw. system elberfeldzki t. j. system dozoru ubogich przez członków stowarzyszeń zapożyczony od Konferencyi św. Wincentego, lecz i on sprawi i narazi członków na nieprzyjemności przy komunikowaniu się z władzami czy sądowemi czy policyjnemi, jak to sobie centralne biuro zarządu zakreśla w 2. artykule ustaw.

Wogóle, stowarzyszenia dobroczynne założone we Wielkopolsce przez wielkich pionierów sprawy polskiej, potrzebują dziś koniecznie reorganizacyi, jeżeli wobec walki narodowościowej i tylu

innych objawów życia nowoczesnego nie mają powoli zniknąć z powierzchni ziemi. I jak niegdyś przy początkach tej pracy przed laty 50 Kalinka się nią zachwycał, tak i my patrząc na nową organizacyę pragniemy powtórzyć jego słowa: „Ze wszystkich ziem naszej Ojczyzny, Wielkie Księstwo Poznańskie najwięcej dowodzi tych cnót obywatelskich i politycznych przymiotów, które naród z upadku dźwigają i do samoistnego przygotowują bytu. Nie tylko tu w sercu i we wyobraźni gorąca dla Polski miłość, ale i w życiu codzienna o Polskę troska, codzienna dla niej ofiara; nie tylko wiele tu ludzi oddanych pracy publicznej, ale wiele też pracy bezimiennej, nieosobistej, wspólnej a szykownej".

Ks. J. R.

Uwagi o naszem miłosierdziu.

...„Modlitwa jest wszechmocą człowieka na ziemi" — powiedział jeden z żyjących myślicieli angielskich i powiedział, co jest prostą, dosłowną prawdą. Również prostą, dosłowną jest prawdą, że miłosierdzie ciche i ofiarne utrzymuje nam chęć i zdolność do modlitwy.

* * *

Miłosierdzie — słowo. w którem zamyka się myśl najwznioślejsza, myśl, która zmieniona w czyn, ociera łzy, goi rany, stwarza względny przynajmniej dobrobyt, sprowadza rumieniec na wybladłe twarze i uśmiech na usta, co może nigdy się jeszcze nie śmiały.

Miłosierdzie nie tylko ciału ulgę przynosi, ale wraz z jasnym płomieniem na ognisku, rozgrzewającym ubogą izbę nędzarza, wlewa w zbolałe serca uczucie otuchy i wiary w lepszą przyszłość.

Miłosierdzie podnosi moralną wartość tych, którzy je wykonują i tych, którzy są przedmiotem miłosierdzia.

Błogosławieni miłosierni!

Wydawca i redaktor odpowiedzialny za komitet: **Ks. Jan Rzymełka.**